

LIZAĆ OSTRZE

JAKUB ĆWIEK

Jakub Ćwiek

Lizać ostrze

*Mojej Uli...
a także Eli, Ani i Alex
- które w swym kotle
doprawiły tę historię.*

*Dreams of war, dreams of liars
Dreams of dragons fire
And of things that will bite*

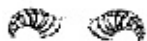
Enter Sandman
Metallica

Rozdział 1

Każdy tonący ma swoją brzytwę. Większość nosi ją stale przy sobie, w tylnej kieszeni spodni, odruchowo przekładając przy każdym praniu jak klucze czy portfel. I tak naprawdę nie ma pojęcia o jej istnieniu. Gdyby zapytać któregoś, pewnie zareagowałby zdumieniem czy wręcz śmiechem. „Brzytwa – zapytałby – jaka znowu brzytwa? Nie mam żadnej brzytwy”.

Na potwierdzenie swych słów sięgnąłby do tylnej kieszeni, wyciągając z niej coś niegroźnego, grzebień czy telefon, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że jego palce właśnie o milimetr minęły się z na wpół otwartym ostrzem. Bo brzytwa oczywiście cały czas jest na miejscu. Czeka, aż zaczniesz tonąć...

Kacper Drelich też ją miał. Jego brzytwą była obietnica złożona synowi.



Kilka dni wcześniej, zanim jeszcze po nieudanej akcji ciężko pobity wylądował na krześle w bliżej nieokreślonym ciemnym pomieszczeniu, Kacper wybrał się z synem na plac zabaw. Jego żona miała akurat – jak zwykła wymownie określać – wychodne. To znaczyło mniej więcej: „Mam dość roli kucharki, niańki i sprzątaczk. Dziś miasto należy do mnie”. Ponieważ wychodne brała sobie nadzwyczaj rzadko, a dzieciak był już dość duży, żeby na głos wyrażać swoje potrzeby, mąż nie śmiał protestować. Zresztą był ostatnim, który mógłby rzucić kamieniem.

– Tylko nie zabieraj go znowu do kina – powiedziała, wychodząc.

Kacper, który właśnie wykręcił numer do pobliskiego multipleksu, aby zapytać, czy grają coś dla dzieci, błyskawicznie się rozłączył.

– Oczywiście, że nie, kochanie – odparł, uśmiechając się rozbrajająco i unosząc ręce w parodii obronnego gestu. – Myślisz, że nie potrafię być oryginalny?

I tak oto wraz z małym Gracjanem wylądował w miejskim parku. Był to swego rodzaju kompromis pomiędzy kinem a zoo, do którego za wszelką cenę chciał pójść czteroletni synek Drelicha. Kacprowi jednak na samą myśl o smrodzie wybiegu dla słoni czy małpiarni wywracało się w żołądku.

Po krótkiej kłótni obaj doszli do wniosku, że park i plac zabaw w jego centrum będą najlepszym rozwiązaniem. Stało tam kilka dmuchanych gumowych ślizgawek, oponowe huśtawki i, co chyba najważniejsze, wielka karuzela z kręcącymi się smokami. Drelicha kusiała ustawiona niedaleko budka z napojami i ukryta w cieniu ławeczka. Taka mała oaza spokoju.

Wybór okazał się trafny. Gracjan najpierw zaliczył wszystkie drobniejsze atrakcje (nie odpuścił nawet piaskownicy, choć lepienie babek znudziło mu się po niecałych pięciu minutach), a potem ruszył na podbój smoków. Stało na tym, że Kacper był zmuszony wykupić mu karnet na dziesięć przejazdów, a potem zapłacić za identyczny dla siebie. Po godzinie miał absolutnie dość smoków i cieszył się, gdy nareszcie mógł zejść z karuzeli. Mimo to uśmiech na twarzy syna sprawiał mu nielichą satysfakcję.

– Twój tatuś to świetny facet, nie, mały? – powiedział do chłopca operator karuzeli, siwy staruszek w koszulce pirata i z chustą na głowie. Opaska na oko musiała dać mu się we znaki, bo zdjął ją i włożył za szeroki pas.

– No! – odparł podekscytowany malec. – Fajnie było, prawda, tato? Wrócimy tu jeszcze?

– Jasne – westchnął Kacper. Jeżeli Gracjan opowie o wszystkim mamie i nadal będzie miał na twarzy

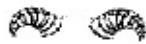
takie wypieki jak teraz, to wrócą tu już w następną niedzielę. Drelich mógł się założyć.

– O, skoro tata obiecał, to na pewno przyjdziecie – dorzucił staruszek, mrugając do chłopca. – Bo obietnic złożonych dziecku dotrzymuje sam Bóg i jego aniołowie.

– Nie jestem już dzieckiem – burknął oburzony Gracjan.

Kacper ubawił się wtedy tak z dzieciaka, jak i ze słów starego.

Gdy przypomniał je sobie kilka dni później, wcale nie było mu do śmiechu.



– Śpisz, glino? – rozległ się cichy głos gdzieś z przeciwnego końca pomieszczenia.

Kacper nie zareagował. Dalej siedział ze zwieszoną głową i liczył krople krwi kapiące mu z ust i nosa na spodnie. Trzydzieści sześć, odkąd oprzytomniał. Bóg jeden wie ile wcześniej.

Twarz i żebra paliły go żywym ogniem. Wykręcone do tyłu ręce skute kajdankami drżały z bólu i wysiłku. Do tego jeszcze ten wszechobecny mrok...

– Ja myślę, że jednak nie śpisz. Rozległy się ciche kroki.

Drelich odruchowo skulił ramiona, wodząc niewidzącymi oczami to w lewo, to w prawo. Wydawało mu się, że czuje oddech faceta stojącego tuż za nim. O krok. A może pół kroku. Z uzbrojoną w nóż ręką ukrytą za plecami i z szaleńczym uśmiechem na ustach.

Gdy Kacper znowu usłyszał jego głos, oprawca znajdował się dokładnie naprzeciw.

– Zróbmy mały teścik, brachu – zaproponował, nie kryjąc rozbawienia. – Tak by zobaczyć, jak pójdzie nam dalsza współpraca. Teraz podniesiesz główkę i spojrzysz na mnie albo znowu sięgnę po drastyczniejsze środki. Co ty na to?

Głupie pytanie. Retoryczne. Drelich był gotów zrobić niemal wszystko, byleby tylko nie zarobić następnego ciosu. Uderzenia, które z pewnością pozbawi go przytomności i tym samym odbierze wszelkie szanse. Wyobraźnia, cały czas na najwyższych obrotach, zrezygnowała z obrazu psychopaty z nożem na rzecz złamanego żebra przebijającego opłucną. I wielu innych podobnych widoków.

Sycząc z bólu, uniósł głowę.

– Brawo – ucieszył się oprawca. – O to właśnie chodziło. Teraz sobie porozmawiamy. Ale najpierw...

Coś pstryknęło i tuż przed oczami Kacpra rozbłysło światło. Wrzasnął. Oślepiający blask uderzył w jego rozszerzone źrenice niczym milion rozgrzanych igieł. W ciągu ułamka sekundy ból w żebrach przestał się liczyć. W porównaniu z tym, co czuł, mimowolnie chłonąc światło, tamto było jedynie nieudolną grą wstępną, źle zagranym preludium. A teraz zaczął się właściwy koncert.

Zamknięcie oczu pomogło odrobinę, ale nie tak, jak na to liczył. Przestał jednak krzyczeć. Czuł, że drży na całym ciele i zalewają go na przemian fale zimna i gorąca. Po policzkach płynęły mu łzy.

– Nieźle, nie? – zapytał ze śmiechem oprawca. – Gdybyś mógł się teraz zobaczyć, glino, ciekawe, jak byś się określił. Ja stawiałbym osobiście na żalostnego sukinsyna.

Drelich milczał. Ból w głowie zelżał na tyle, że poprzednie obrażenia na powrót mogły z nim konkurować. Dołączyło do nich ochoczo drapanie w wycieńczonym przeraźliwym krzykiem gardle.

Gościowi po przeciwnej stronie lampy milczenie ofiary zdawało się w ogóle nie przeszkadzać. Po krótkiej pauzie zaczął mówić dalej, wyraźnie delektując się swoim głosem.

– Widziałem taką lampę w jednym ze starych filmów – wyjaśnił. – Tyle że tam używały jej gliny. Ci dobrzy, rozumiesz? W białych garniturach.

Przerwał na moment. Rozległ się trzask zapalanej zapalniczki i po chwili pomieszczenie wypełniła woń mentolowych papierosów.

– Pomyślałem wtedy: „To niesprawiedliwe, że zabiera się nam, czarnym, taką frajdę. To przecież my powinniśmy stać w cieniu. Wy wybraliście jasność”.

Kacper ostrożnie poruszył się na krześle. Jeżeli do tej pory miał jeszcze złudzenia, że to wszystko jest

jedynie grą, że chodzi tylko o wyciągnięcie z niego jak najwięcej informacji (a był gotów wyśpiewać wszystko na dowolny temat), teraz stracił wszelką nadzieję. Człowiek po przeciwnej stronie lampy nie potrzebował żadnych wieści. Jego szefowie czy też wspólnicy – może tak, ale temu tutaj wiedza gliny była zupełnie obojętna. Dało się to usłyszeć z głosu oprawcy, wyłowić z potoku słów. Niezależnie, co Kacper Drelich postanowiłby powiedzieć na swoją obronę, wyrok zapadł. Apelacji nie przewidziano.

„Tyle że to nie może się tak skończyć – usłyszał cichy szept gdzieś w swojej głowie. Nie wiedzieć czemu Kacper był pewien, że gdyby ów głos miał kolor, byłaby to stonowana zieleń. – Zawsze jest wyjście z sytuacji. A ty musisz przeżyć, przecież obiecałeś”.

Ta myśl była tak absurdalna, że mimo bólu uśmiechnął się lekko. Zaraz jednak spoważniał w obawie, że grymas rozbawienia mógłby zostać zauważony przez jego kata.

Jednak raz wyciągniętą brzytwę trudno już schować z powrotem. Unosiła się delikatnie na falach oceanu beznadziei, czekając, aż pochwyci ją topielec. Bo przecież „obietnic złożonych dziecku”...

Szaleniec od dłuższej chwili milczał. Kacprowi przyszło do głowy, że może na kogoś czeka. „Może czeka – podpowiedział zielony głos – bo sam nie może cię tknąć. Myślisz, że dlaczego użył akurat światła, zamiast po prostu cię zastrzelić? Pewnie rzeczywiście jest świrem, ale nadal pozostaje tylko pionkiem. A pionki nie poruszają się same”.

Brzmiało to nawet prawdopodobnie, tyle że okrutna wyobraźnia, nie dająca łatwo za wygraną, miała własny pogląd na sprawę.

Według niej siedzący po przeciwnej stronie stołu wariat (Drelich był niemal pewien, że ma on na oczach sklezione plasterem okulary w rogowych oprawkach) trzymał w ręku rewolwer i od czasu do czasu celował sobie dla próby w przykutego do krzesła glinę. Za każdym razem palec coraz bardziej zaciskał się na spuście...

Zaszurało krzesło. Kacper przyjął ten dźwięk z mieszaniną niepokoju i ulgi. Podobnie jak kolejne słowa oprawcy.

– Już poznałeś, czym jest ból – powiedział ten, wkraczając w półkole światła. Nadal oślepiony blaskiem lampy Drelich był w stanie dojrzeć jedynie zarys jego sylwetki. – Myślę, że powinniśmy przejść do kolejnego etapu naszego spotkania. Pytań mianowicie. Masz coś przeciwko temu, czy też kryjesz w rękawie jakiegoś asa?

– Nie – wyszeptał Kacper.

– Co „nie”? – zapytał z rozbawieniem oprawca. Przesunął lekko lampę po blacie i usiadł na krawędzi stołu. Założył nogę na nogę.

– Nie mam nic przeciwko pytaniom – sprecyzował Drelich. – i nie chowam żadnego asa.

Kłamał w obu przypadkach. Choć o ile co do pytań skłamał z premedytacją, świadomość, że jednak ma w rękawie asa, spłynęła na niego dopiero po chwili. Przez moment nawet zastanawiał się, jak mógł nie pomyśleć o tym wcześniej, jak mógł zapomnieć, skoro ów as tyle go kiedyś kosztował.

Ale od tamtej pory, a zwłaszcza od zeszłej nocy w doku numer dziewięć, wiele nowego nauczył się o cierpieniu. Palcem wskazującym lewej ręki pogładził kciuk prawej.

Siedem, a może osiem lat temu podczas szkolenia zorganizowanego dla słuchaczy szkoły policji dowiedział się ciekawej rzeczy o uwalnianiu dłoni z kajdanek. „Kosztuje to zawsze trochę bólu – mówił prowadzący zajęcia, były włamywacz, krzywiąc się w szelmowskim uśmiechu, który nadawał jego nieogolonej, pobrużdżonej twarzy piracki wygląd. – Ale wiercie mi, panowie... przepraszam, panie i panowie, że się opłaca”.

Poprosił kogoś z chłopaków, żeby zapiął mu kajdanki. Potem dziewczynę, by sprawdziła, czy wszystko jest w porządku. A później po prostu ścisnął lewą ręką prawą dłoń i... zsunął bransoletkę. Przez chwilę wyraźnie karmił się zdziwieniem na twarzach słuchaczy, zanim wyjaśnił, na czym polegała sztuczka.

Tydzień po tych zajęciach pijany w sztok Kacper Drelich, oblewający właśnie zakończenie kolejnego

roku szkoły, przywiązał kciuk prawej ręki do stojącego na szafce wielkiego kamienia. Głaz mógł ważyć ze czterdzieści kilo i Drelich nieźle się namęczył (i naklął przy okazji), taszcząc go z ogródka do pokoju. Wtedy jednak nie miał ani grama wątpliwości, że to dobry pomysł. Podobnie jak chwilę potem, gdy opierał kciuk na krawędzi blatu szafki, sprawdzając przy okazji, czy sznurek nie jest aby za długi. Wreszcie lewą ręką szarpnął za kamień i strącił go w dół.

Zanim jeszcze głaz uderzył o podłogę, rozległ się cichy trzask pękającej kości, a do oczu Kacpra napłynęły łzy. Mimo solidnej dawki znieczulenia procentami ból był tak wielki, że Drelich zemdłał.

Wspominał tamto wydarzenie, ilekroć ktoś zapraszał go na popijawę. Zdanie „Alkohol twój wróg” nabrało dla Kacpra zupełnie innego znaczenia. A gdy po latach zobaczył, ilu jego kumpli przez pociąg do wódki stoczyło się do rynsztoka, był już przekonany, że tamten włamywacz, kamień i ból uratowały mu życie. Teraz liczył po cichu, że zrobią to ponownie.

– Nie mam nic przeciwko pytaniom – powtórzył. – Odpowiem na wszystkie, tylko proszę mnie więcej nie bić.

Głos drżał mu przy każdym słowie, tym razem jednak bardziej z podniecenia niż ze strachu. Miał nadzieję, że tamten świr nie dostrzeże różnicy. Lewą dłoń zacisnął na prawej i zgniatając ją, powoli zaczął zsuwać bransoletę.

– Zaczynamy więc – powiedział oprawca. Rozległ się odgłos zacieranych rąk. – Czy możesz mi powiedzieć, co robiłeś wtedy w porcie, glino?

Na ostatnie słowo położył mocny akcent. Zupełnie jakby chciał ostrzec: „Tylko nie próbuj mi wmówić, że znalazłeś się tam przypadkiem”. Kacper ani myślał kłamać. Grał w końcu na zwłokę. Do tego prawda nadawała się wręcz znakomicie.

– Dostałem cynk, że będziecie tam mieli przerzut. Chciałem zobaczyć, jak duży i dokąd to wszystko wywozicie.

Ponownie rozległ się trzask zapalanej zapałki. Tym razem Drelich dostrzegł nawet jej światełko. Albo tak mu się zdawało. Prawą bransoletę miał już na palcach. Wystarczyło tylko puścić... i modlić się o siłę w omdlałych rękach.

Oprawca odchylił głowę do tyłu.

– Brawo – pochwalił ze śmiechem. – Bardzo ładnie. Może więc powiesz mi jeszcze...

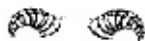
Nie skończył, bo w tym właśnie momencie Kacper rzucił się do ataku. Błyskawicznie wyciągnął ręce zza siebie i złapał przeciwnika za nogi. Zanim tamten zaskoczony zdążył zareagować, Drelich szarpnął się gwałtownie do tyłu. Wiedział, że nawet wliczając element zaskoczenia, jest zbyt słaby, by po prostu ściągnąć mężczyznę ze stołu. Liczył jednak, że uda mu się dokonać tego, lecąc na plecy wraz z krzesłem i wykorzystując tym samym swój własny ciężar.

Udało się. Oprawca próbował jeszcze przez moment uchwycić rękami blat, ale stracił równowagę i rąbnął tyłem głowy najpierw o kant stołu, potem o betonową podłogę. Aż zadudniło.

Kacper poderwał się. Ból przeszywał mu lewy bok, a mrowienie w rękach przypominało, że nie może im za bardzo ufać. Mimo to jednym susem doskoczył do leżącego przeciwnika gotów skrócić mu kark przy najmniejszym ruchu. Przewrócona lampa, która jakimś cudem utrzymała się na stole, oświetlała teraz twarz oprawcy. Drelich, trzymając w pogotowiu wzniesioną pięść i z całej siły wyężdżając obolałe oczy, przyjrzał się uważnie gębie świra.

Mężczyzna nie nosił okularów z rogowymi oprawkami i przypominał bardziej wymuskanego modela niż cyngla mafii. Twarz miał pociągłą, przystojną, z idealnie prostym, wąskim nosem i wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Blond włosy spinał w krótki kucyk. Z kącika ust, drobnych, delikatnych, niemal kobiecych, wypływała cienka strużka krwi.

Drelich opuścił rękę i ostrożnie sprawdził leżącemu tętno. Nie wyczuł go, wstał więc powoli i podniósł lampę. Dzięki niej bez problemu znalazł drzwi i po kilkuminutowych zmaganiach z zamkiem i klamką wyszedł na zewnątrz.



Skąpany w półmroku korytarz ciągnął się jakieś pięćdziesiąt metrów w obie strony, a z obu jego końców prowadziły w górę metalowe schody. Kacper nie był tego jednak całkiem pewien, wciąż jeszcze migwały mu przed oczami srebrzysto-cieniste kwadraciki, pozostałości „naświetlania”. Po krótkim namyśle ruszył w prawo.

Drelichowi wpadło do głowy, że przecież mógł sprawdzić, czy tamten miał broń. Ot tak, na wypadek gdyby jego oprawca rzeczywiście zamierzał z kimś się spotkać. Przez chwilę rozważał, czy nie zawrócić.

„Tyle że nawet jeśli tamten ma broń – myślał – jesteś pewien, że zdołasz się nią posłużyć? Raz ci się udało, bracie, więc teraz więcej co sił. Nie nadwerężaj szczęścia”.

Dopadł schodów i zaciskając rękę na poręczy, począł piąć się w górę. Dokładnie dziewiętnaście stopni dzieliło go od pomalowanych na zielono drewnianych drzwi, wrót do wolności. Kacper poczuł, że jeśli teraz ktoś je otworzy albo okażą się zamknięte, to chyba zacznie wyć z rozpacz.

Na szczęście po naciśnięciu klamki usłyszał ciche skrzypnięcie i drzwi stanęły otworem. Drelich rozejrzał się po budynku.

Była to jakaś stara hala fabryczna przeznaczona do rozbiórki. Ściany pokrywał grzyb, po podłodze walały się kamienie i kawałki szkła. Gdzieś tam widniały jeszcze świeże ślady moczu, a usypane to tu, to tam stosy szmat, gazet i tektury świadczyły wyraźnie, że budynek służył za dziką noclegownię bezdomnym. Zdaniem Kacpra -świadczyły nawet nazbyt wyraźnie. Jego umysł, latami szkolony w wypatrywaniu poszlak, bez trudu wyłapał drobne nieścisłości.

Po pierwsze, gazetowo-szmaciane kupki były ułożone stanowczo zbyt równo, kawałki szyb znajdowały się zbyt daleko od okien, a ślady moczu zbyt blisko miejsc do spania. Poza tym brakowało tu puszek, pustych opakowań i innych pozostałości po jedzeniu, nieodłącznych elementów takich koczowisk. Drelichowi nie chciało się również wierzyć, że żaden z bezdomnych nigdy nie zszedł do piwnicy. Przypomniawszy sobie, że drzwi pomieszczenia na dole były wyjątkowo grube i miękkie. Jakby wytłumione.

– Sprytne – pochwalił, lekko kiwając głową, i ruszył w stronę wyjścia.

Przeszedł przez małe, zaniedbane podwórko. Po drodze podniósł z ziemi kawałek drutu i za jego pomocą szybko oswobodził z kajdanek lewą rękę.

Od ulicy dzielił go teraz jedynie wysoki płot z ciasno przylegających do siebie sztachet. Rozejrzał się, czy któraś nie jest aby obluźwana. Gdy w końcu taką znalazł, prześliznął się i wyszedł na ulicę. Mijający Kacpra ludzie patrzyli na niego z mieszaniną niepokoju i niesmaku na twarzach, ale nic sobie z tego nie robił. Był wolny.



– O Boże! – krzyknęła sklepikarka, wybiegając zza lady. – Co panu jest?

Drelich obejrzał swoje odbicie w szklanych drzwiach i aż się skrzywił. Spokojnie mógł uchodzić za ofiarę wypadku. Potwornie napuchnięty, czerwony nos, do tego pełno mniejszych i większych ran na brodzie i policzkach, a lewe oko zaczynało już sinieć. Włosy miał zmierzwił, pełne pyłu i maleńkich patyczków, a ubranie poszarpane i czerwone od krwi.

Sprzedawczyni złapała po drodze stojące przy ścianie krzesło. Gnając, uderzyła biodrem o regał, z którego posypały się szesnastokartkowe zeszyty z Goofym.

– Proszę, niech pan usiądzie. Ja już dzwonię po karetkę.

Pokręcił głową, siląc się na swobodny uśmiech. Sądząc po minie sklepikarki, z miernym skutkiem.

– Nie potrzebuję karetki – wyjaśnił. – Muszę tylko zadzwonić.

– Ale...

– Jestem z policji – dodał pospiesznie i odruchowo sięgnął do tylnej kieszeni spodni po legitymację. Oczywiście nic tam nie było, nie używał legitymacji od tak dawna, że prawie nie pamiętał wypisanego na niej numeru, ale kobieta wcale nie potrzebowała żadnych poświadczeń. Podparła go ramieniem i doprowadziła do telefonu.

Kacper wystukał numer.

– Podinspektor Trolewski. Słucham – rozległo się po dwóch sygnałach.

– To ja, Kacper.

– Gdzieś ty był?! Szukamy cię całą noc. Miałeś być przy...

– Uspokój się. – Drelich przełożył słuchawkę do lewej ręki. – Złapali mnie, ale właśnie się wyrwałem. Cudem. Jestem teraz w sklepie papierniczym na ulicy...

Spojrzał pytająco na sklepikarkę.

– Kwiatowa czternaście – odpowiedziała kobieta.

– Na Kwiatowej czternaście – powtórzył. – Byłbym wdzięczny, gdybyś podesłał tu kogoś z samochodem i jakimiś świeżymi ciuchami. Cały jestem we krwi. A, i jeszcze jedno, czy mógłbyś...

Nagle świat zawirował mu przed oczami. Srebrzyste kwadratowe błyski stały się różowe, a potem czerwone i okrągłe. Poczuł, że kolana ma z waty, ręce dziwnie wiotkie, a szarka z telefonem stała zbyt daleko, by mógł się jej złapać. Później widział już tylko ciemność.



– Pan ma chyba szkielet z gumy. – Lekarz, gruby mężczyzna o gładkiej, pogodnej twarzy i z niewielkim plackiem łysiny pośród jasnobrązowych włosów, wyłączył tablicę do podświetlania zdjęć rentgenowskich. Gdy się odwrócił, wydał pulchne policzki w grymasie rozbawienia z małą domieszką podziwu. – Ani jednego złamanego żebra. A sądząc po siniakach, obstawiałbym co najmniej dwa.

– Może ma pan rację, doktorze – odparł siedzący na kozetce Kacper, mimowolnie przykładając rękę do obitego boku. – Czuję się, jakby ktoś mnie przeżuł i wypluł.

Lekarz parsknął śmiechem.

– Dobrze, że poczucie humoru ma pan całe. O to czasami najtrudniej.

Przeszedł przez gabinet i usiadł za biurkiem. Podniósł z blatu stetoskop, przewiesił go sobie przez szyję. Na ten widok Kacprowi przypomniała się zgryźliwa uwaga Agnieszki, którą rzuciła kiedyś, oglądając jeden ze szpitalnych seriali: „Wiesz, czym się różni prawdziwy doktor od takiego z telewizji? Ten drugi zawsze ma na szyi stetoskop. Nawet pieprzony ginekolog”.

Drelich uśmiechnął się mimowolnie.

– Co pana tak bawi? – spytał zaintrygowany lekarz.

– Nie, ja tylko... – machnął ręką Kacper. – Coś sobie przypomniałem. Mogę się już ubrać?

– Jasne, ale może woli pan zadzwonić do kogoś, żeby przywiózł coś świeższego? – Doktor wskazał głową na skrwawione szmaty obok kozetki. Jeszcze niedawno były to całkiem dobre spodnie i koszula. – Sami byśmy to zrobili, ale nie podał nam pan numeru.

– Skoro można, to chętnie – odparł Drelich. – Właściwie prosiłem już o to kolegę, zanim straciłem przytomność, ale może nie wie, gdzie mnie przywieźli.

Wstał ostrożnie i podszedł do biurka. Usiadł na krześle naprzeciwko lekarza, a ten odwrócił telefon w jego stronę.

– Mam nadzieję, że nie mieszka pan na drugim krańcu świata – rzucił. – Strasznie nas gonią za zamiejskowe. Wie pan, szpital w długach.

Kacper skinął głową z uśmiechem i podniósł słuchawkę. Jeśli nawet zdziwił się, że telefon zamiast przycisków miał tarczę, nie dał tego po sobie poznać. Zdażył się jednak odzwyczaić i ledwie trafił palcem w otwór.

– Przez zero-zero – doradził lekarz. – Mamy tu centralkę.

Ktoś zapukał cicho i do gabinetu weszła prześliczna młoda pielęgniarka z żółto-niebieską reklamówką w ręku.

Drelich poznał ją, bo była to ta sama, która pomagała mu zdjąć koszulę niecałe pół godziny wcześniej. Opuścił słuchawkę i uśmiechnął się do dziewczyny. Jej kąciki ust same powędrowały do góry.

– Przepraszam, panie doktorze – powiedziała – ale ktoś czeka na zewnątrz. Przedstawił się jako Franciszek Trolewski.

Lekarz wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że będzie mu... – zaczął, ale Kacper wszedł mu w zdanie.

– To do mnie – mówił, nie odrywając wzroku od dziewczyny. – To ten kolega, do którego dzwoniłem.

Na jego twarzy nie było już jednak nawet śladu po uśmiechu. Wyrażała raczej zdumienie, a nawet lęk. Potrząsnął głową i mrugnął kilkakrotnie, jakby właśnie się przebudził.

– Jednak mnie znalazł.

Pielęgniarka zrobiła krok do przodu i położyła reklamówkę na kozetce.

– Przywiózł świeże ubrania. Mówił, że zaczeka na zewnątrz.

Doktor skinął głową.

– Dziękujemy bardzo. Proszę mu powiedzieć, że to już długo nie potrwa.

Przeniósł wzrok na przyglądającego się dziewczynie Kacpra.

W ręce Drelicha nadal tkwiła słuchawka telefonu, a on najwyraźniej zupełnie nie słyszał jej piszczenia. Lekarz uśmiechnął się szeroko.

– Niech pani lepiej już idzie – poprosił pielęgniarkę. – Pacjent ma na dziś dość wrażeń.

Na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz niezrozumienia, zaraz jednak wyłapała spojrzenie Drelicha błędzące w okolicy jej dekoltu i pojęła, o co chodziło. Lekko zaczerwieniona wybiegła z gabinetu, tylko skinąwszy głową.

– Ładnie tak peszyć pielęgniarki? – parsknął śmiechem doktor.

Kacper uśmiechnął się niepewnie i wzruszył ramionami. Odłożył słuchawkę na widełki.

– Śliczna dziewczyna – powiedział. – To dlatego tak... Lekarz pokiwał ze zrozumieniem głową. Pełen wesołości uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

To utwierdziło Drelicha w przekonaniu, że musiało mu się coś przywidzieć.

„Jesteś zmęczony – tłumaczył sobie – a gdybyś rzeczywiście dostrzegł to, co ci się wydaje, on również musiałby coś zauważyć. Masz zwidy, chłopie!”

Żadne tłumaczenie jednak nie pomagało, a w jego głowie cały czas migał ten sam obraz niczym fragment filmu puszczonego non stop do przetarcia taśmy: gładka szyja dziewczyny, na której znikąd pojawia się poziome rozcięcie niemal od ucha do ucha. Kilka kropel krwi skapuje na biały kołnierzyk jej fartucha, barwiąc go na różowo. A potem wszystko znika. Ot tak, po prostu.

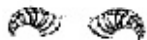
Widok siedzącego w poczekalni Franka ubranego mimo upału w kraciatą wełnianą marynarkę i z trudem mieszczącego się na plastikowym krzeselku wywiał z jego głowy wszelkie złe myśli. W jednej chwili przestał myśleć o pielęgniarce. Niewiele brakowało, a zapomniałby również o poranku w piwnicy, w tej kwestii jednak ból piekących żeber i opuchniętego nosa dość skutecznie odświeżał mu pamięć. Mimo to Kacper nie był w stanie powstrzymać uśmiechu.

– Cześć, wielkoludzie! – zawołał.

Trolewski podniósł wzrok znad rozwiązywanej krzyżówki, a zaraz potem poderwał się na równe nogi. Przy swoich stu dziewięćdziesięciu centymetrach wyglądał teraz jak bajkowy olbrzym. Rzucił gazetę na stolik i ruszył ku Kacprowi, a na porośniętej gęstą brodą twarzy pojawił się pełen niepokoju uśmiech. Choć szedł powoli, z każdego kroku dawało się wyczuć, że gotów jest rzucić się biegiem, gdyby tylko przyjaciel zasłabł. Uścisnęli się. Nie za mocno, ale mimo to Drelich o mało nie syknął.

– W porządku? – zapytał Franek, puszcżając go.

- W miarę. W końcu żyję, nie?
 - Żyjesz – zgodził się Trolewski. – Chodź, odwiozę cię do domu.
- Kacper skinął głową i obaj powoli ruszyli ku wyjściu.



Komendant Franciszek Trolewski, jak przystało na pewnego swej pozycji oficera policji, nic sobie nie robił z przepisów drogowych. Jeździł zbyt szybko, wpychał się na trzeciego i trąbił, gdy tylko ktoś jego zdaniem zbyt wolno ruszał na skrzyżowaniu. Mimo to Kacper, choć sam był raczej spokojnym kierowcą, lubił z nim jeździć i nigdy, siedząc w niebieskim passacie swego przełożonego, nie czuł się naprawdę zagrożony.

– Twoja baza jest już spalona – powiedział Franek, gdy już opuścili miasto i wjechali na obwodnicę. – Zaraz po twoim zniknięciu posłałem paru chłopaków w kilka miejsc, w tym do ciebie, żeby oddalić podejrzenia. Zgarnęliśmy parę płotek, ściągnęliśmy do kupy może z pięć kilo proszku... Słowem, się spierdoliło.

– Przykro mi – to było jedyne, co przyszło Drelichowi do głowy. – Naprawdę miałem nadzieję...

– Wiem! – komendant przerwał mu ostro, po czym już łagodniej dodał: – Nie twoja wina. A właściwie twoja, ale nie tylko. Wszyscy daliśmy dupy. Byliśmy zbyt pazerni. Opowiadaj teraz, jak cię złapali. I co najważniejsze, czy wiedzą, kim jesteś?

– Myślę, że jedyne, co wiedzieli, to że jestem gliną. – Kacper przypomniał sobie, jak zwracał się do niego oprawca. – Poza tym nic, ale niewiele brakowało, aby wyciągnęli ze mnie wszystko słówko po słówku.

Niecałe dziesięć minut zajęło Drelichowi opowiedzenie całej historii. Oczywiście pominął w niej rolę brzytwę, zielonych głosów i studenckiego eksperymentu, który zgodnie z obietnicą instruktora okazał się świetną inwestycją na przyszłość. Gdy skończył, przez chwilę jechali w milczeniu.

– Swoją drogą, to postarali się o niezłe zadupie na tę swoją melinę – powiedział w końcu Franek. Trzymał kierownicę jedną ręką i niebezpiecznie często zerkał na pasażera. – A do tego, mówię ci, ludzie kompletnie nie mają pojęcia, na jakim świecie żyją. Pytasz się jednego czy drugiego o tę cholerną Kwiatową, a ten gapi się na ciebie jak ten baran i... No jedźże!

Kierowca czerwonego malucha przed nimi nie mógł usłyszeć polecenia, mimo to grzecznie usunął się na bok. Trolewski przyspieszył.

– Ja znam każdą ulicę w swojej dzielnicy – westchnął.

Kacper parsknął śmiechem.

– Za twoim biurkiem wisi wielka mapa rewiru z czasów, gdy byłeś tam dzielnicowym. I widzisz ją codziennie od ilu lat? Nawet matoł by się nauczył.

– Wielkie dzięki – burknął komendant i zahamował gwałtownie, by nie uderzyć w zmieniającą pas ciężarówkę. Zatrąbił przeciągle. – Kierunkowskaz, kretynie!

– Skąd wzięłeś moje ciuchy? – zapytał Drelich. Trolewski wzruszył ramionami.

– Z twojego domu, rzecz jasna. – Musiał dostrzec niepokój na twarzy Kacpra, bo zaraz dodał: – Nie martw się, pamiętałem. Powiedziałem Agnieszce, że miałeś drobny wypadek. Potracił cię samochód. I tej wersji lepiej się trzymaj, jeśli nie chcesz, żebyśmy obaj wpadli w kłopoty. Chciała ze mną jechać, ale nie miała z kim zostawić małego, a ja zapewniłem ją, że odtransportuję cię prosto do domu.

– Żywego lub martwego – dodał Drelich z kwaśnym uśmiechem.

Franek zmienił pas i po kilkunastu metrach zjechał z obwodnicy. Z tego miejsca Kacper widział już swój blok, czteropiętrowy budynek z porośniętymi bluszczem ścianami i szklarnią na dachu. „Cholerny Babilon”, jak zwykł go nazywać.

– A propos martwych. – Trolewski sięgnął prawą ręką do kieszeni marynarki i wyjął z niej paczkę

gum. Podsunął ją pod nos Drelicha, ale ten odmówił. – Muszę wysłać chłopaków, żeby zabezpieczyli tego gościa w piwniczce.

– Tylko niech zrobią to dyskretnie. Pamiętaj, że to najprawdopodobniej melina i można tam złapać jakąś grubszą rybkę.

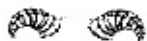
– Tak, jasne, zwłaszcza po nocnej obławie – zadrwił Franek. Włączył kierunkowskaz i skręcił w osiedlową uliczkę. Przejechał około stu metrów, potem zaparkował i wyłączył silnik. – Zresztą póki co to nie twoja sprawa. Od dziś masz wolne. I lepiej nigdzie się nie pokazuj przez jakiś czas.

Kacper z uśmiechem pokiwał głową i otworzył drzwi.

– Długo pan beze mnie nie wytrzyma, panie komendancie – powiedział.

Trolewski położył mu rękę na ramieniu.

– Masz rację. Chyba że znowu każesz mi pić tę swoją obrzydliwą kawę.



– Ale mnie wystraszyłeś – powiedziała z wyrzutem Agnieszka, otwierając im drzwi. Zaraz potem uśmiechnęła się, ale Kacper zdążył dostrzec, że miała lekko rozmyty makijaż, a oczy wciąż szklane od niedawnych łez. I na pewno nie był to tylko przelotny szloch.

Lekceważąc ból, przyciągnął ją do siebie i z całej siły przytulił.

– Wybacz, mała – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Koleś, który mnie trzepnął, zarobił już swój mandacik.

Przez chwilę trzymał Agnieszkę w objęciach, po czym odsunął ją na moment, żeby pocałować, i... aż cofnął się o krok. Twarz jego żony, zawsze nieskazitelnie gładką, w jednej chwili pokryły zmarszczki. Lekko zaróżowiona skóra stała się szarobrązowa i bardziej przypominała teraz nieudolną rzeźbę wykonaną z papier mache niż prawdziwe ludzkie oblicze. Pod oczami Agnieszki pojawiły się sinoczarne worki, a z lekko rozchylonych warg wystawały pożółkłe zęby. Czarne włosy posiwiały w ułamku sekundy, a w niektórych miejscach nawet pożółkły niczym trawa w upalne, suche lato.

Wiedźma, która jeszcze przed chwilą była jego żoną, przechyliła głowę.

– Coś nie tak, kochanie? – zapytała.

I nagle wszystko powróciło do normy. Kacper zamknął oczy i wziął dwa głębokie oddechy. Stojący obok Franek posłał Agnieszce pełne niepokoju spojrzenie.

– Może lepiej położmy go do łóżka – szepnął. Drelich pokręcił głową.

– Nie, już w porządku – stwierdził. – Jakieś zawroty... Uśmiechnął się nienaturalnie i minawszy żonę, wszedł do mieszkania. Oparł rękę na szafce z butami, pochylony zaczął rozsypywać sznurowadła. Agnieszka i komendant wciąż stali w progu, przyglądając mu się uważnie.

Drelich pokręcił głową z dezaprobatą.

– Długo będziecie tam stać? – zapytał. – Kochanie, napiłbym się jakiejś herbaty.

– Jasne. – Jego żona odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk kruczoczarnych włosów, odwróciła się i weszła do kuchni. – A ty, Franiu?

– Kawy – poprosił Trolewski, wchodząc do mieszkania i zamykając za sobą drzwi. – Bez śmietanki i cukru.

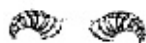
Kacper uporał się z drugim butem i oba włożył do dolnej szuflady.

– Gdzie jest mały? – zapytał.

Agnieszka wróciła z kuchni, zdejmując z ręki rękawicę do gotowania. Nie wiedzieć czemu, zawsze nakładała ją przed postawieniem czajnika na gazie.

– Gracjan jest na podwórku – odparła. – Przyszedł po niego ten mały Krzysio od... Kacper!

Rzuciła się ku mężowi. Niestety, po drodze wpadła na Franka, tak że oboje doskoczyli zbyt późno. Drelich zatrzepotał powiekami i po raz drugi tego dnia runął na ziemię.



Agnieszka cicho zamknęła za sobą drzwi sypialni. Przez przedpokój przeszła na palcach, odetchnęła dopiero w salonie.

Siedzący na kanapie Franek tym razem nie rozwiązywał krzyżówki w swoim nieodłącznym teletygodniku, tylko rozmawiał przez komórkę.

– Talar, czyja ci muszę oczywistości tłumaczyć? No to zróbcie mi tę rudere i piwnicę, tylko żeby nikt nie widział, jasne? Tyle, meldować! – rzucił i zakończył połączenie, widząc wchodzącą do pokoju Agnieszkę.

– Organizujesz włamanie do piwnicy? – spróbowała zażartować. Usiadła w fotelu i podniosła filiżankę. Zdążyła już doprowadzić się do porządku zarówno jeśli chodzi o wygląd, jak też częściowo nerwy, ale mimo to ręka drżała jej lekko.

– Tak, na banki robię się za stary – bez przekonania odpowiedział dowcipem Trolewski. – I co z nim? – zapytał.

Wzruszyła ramionami, omal nie rozlewając swojej herbaty.

– W miarę w porządku. Śpi. Ale nadal uważam, że ktoś powinien go obejrzeć. Przez telefon to żadna diagnoza.

Franek uśmiechnął się i przejechał ręką po swej bujnej brodzie, jak zawsze gdy próbował kogoś uspokoić. „Czy można się bać wilków – mówił ten gest – w towarzystwie niedźwiedzia?”

– Sama słyszałaś, że powiedziałem temu lekarzowi wszystko w najdrobniejszych szczegółach – przypomniał. – A on stwierdził, że to nic niezwykłego, bo Kacper jest bardzo osłabiony. Ale nie miał żadnych poważnych urazów wewnętrznych. Wystarczy, jak wypocznie.

Było jeszcze coś, o czym wolał nie mówić. To nie było zwykłe zmęczenie. Trudno powiedzieć, co dokładnie podali Drelichowi porywacze i dlaczego lekarz kretyn nie zauważył objawów. Jednak Franek, który od śmierci żony większość czasu spędzał, pomagając w ośrodku dla uzależnionych, naćpanego potrafił wyczuć na kilometr. Rozpoznawał ich po zapachu, drobnej nucie słodczy w pocie.

W przypadku Kacpra dochodziły jeszcze rozszerzone źrenice, przyspieszone tętno i dziwne reakcje, zupełnie jakby nagle zauważył coś niepokojącego. Szkolne objawy przyćpania.

Trolewski widział to wszystko, podobnie jak dostrzegł maleńką czerwoną kropkę na przedramieniu przyjaciela, gdy pomagał go rozebrać. Ślad po igle niewiele większy niż po ukąszeniu komara.

Wiedział, że powinien powiedzieć o tym Agnieszce. Nie tylko dlatego, że jako żona Kacpra, a jego przyjaciółka, powinna o tym wiedzieć. Przede wszystkim by nie podała mu czegoś, co mogłoby kolidować z... No właśnie, z czym?

Nie sądził, aby było to coś twardego, podejrzewał raczej amfetaminę z jakąś domieszką halucynogenów. Tak, to nawet miałyby sens. Słyszał, że podobno używa się takiej mieszanki jako serum prawdy. Działała nawet lepiej niż podtlenek azotu.

– ...myślisz? – Agnieszka spoglądała na niego z niepokojem.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się.

– Przepraszam, nie słuchałem – wyjaśnił. – Mówiłaś coś?

– Pytałam, nad czym tak myślisz – powtórzyła. – Ty też nie wyglądasz za dobrze. Co wyście tam w nocy robili? Przesłuchiwaliście panienki z night baru?

Franek odchylił głowę do tyłu i parsknął śmiechem. „I tyle, jeśli chodzi o wyjaśnienia – pomyślał, przypominając sobie całą skleconą dwa dni temu bajeczkę. -

Bo jak wytłumaczyć, że Kacpra naszprycowali bandyci, skoro całą noc spędził na komendzie?”

Z przedpokoju dobiegł ich dźwięk otwieranych drzwi, potem trzaśnięcie i przeciągłe: „Maamoo!”.

Agnieszka postawiła filiżankę na stoliku.

– To Gracjan – wyjaśniła, wstając. Poprawiła spódnice i wyszła z pokoju.

Trolewski zerknął na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Ekipa powinna już od jakiegoś czasu działać na Kwiatowej, warto by ich pogonić. Dopił kawę.

Żona Kacpra wróciła do pokoju, prowadząc synka za rękę. Chłopiec był utyłany w trawie i błocie, a na twarzy miał zaschnięte ślady po łzach. Mimo to gdy zobaczył Franka, rzucił się ku niemu.

– Wujek! – krzyknął radośnie, wyciągając ręce.

– Cześć, szkrabie! – Trolewski wstał i rozłożył ramiona, a gdy chłopiec wpadł między nie, podniósł go na wysokość swojej twarzy i połaskotał brodą po policzku. – Co się stało?

– Niechcący zburzył piaskowy zamek kolegi – wyjaśniła Agnieszka. Franek odkrył z rozbawieniem, że w jej głosie słychać było prawdziwe oburzenie. – I tamten pacnął go łopatką.

Gracjan na wspomnienie tego ciosu zachlipał cicho. Trolewski wyprostował łokcie, tak że trzymał chłopca w wyciągniętych rękach. Udał, że wpatruje się w brzdąca z powagą.

– Oczywiście, młody człowieku. Ale oddałeś mu, jak przystało na małego Drelicha, co? – zapytał.

– Franek! – skarciła go Agnieszka, ale zaraz się roześmiała.

Komendant postawił chłopca na ziemi.

– Myślę, że powinnaś zabrać ich gdzieś w jakieś spokojne miejsce – rzucił, całując ją w policzek na pożegnanie. – Muszą odpocząć po kontuzjach. Obaj.

Skinęła głową.

– Jutro z rana pojedziemy do moich rodziców – zapewniła. – Obaj czują się tam świetnie, a i staruszkom dobrze robi towarzystwo.

– Świetnie. Posiedźcie tam sobie z tydzień i wypocznijcie.

Podszedł do drzwi wyjściowych. Już złapał za kłamkę, ale odwrócił się gwałtownie, jakby coś sobie przypomniał.

– Jeszcze jedno – dodał. – Nie podawaj mu żadnych leków, nawet aspiryny. A gdyby coś się z nim, nie daj Boże, działo, zadzwoń najpierw do mnie, a dopiero potem na pogotowie, dobrze?

Już miała o coś zapytać, ale w ostatniej chwili rozmyśliła się i machnęła ręką.

– Na razie jest w porządku – odparła. – i miejmy nadzieję, że tak zostanie.

Franek pokiwał głową pewien, że jeśli przyjdzie co do czego, Agnieszka i tak zrobi po swojemu. Raz jeszcze pożegnał się krótkim „hej!” i wyszedł.

Spis treści

Rozdział 1

Satyr — preludium

Rozdział 2

Satyr — wejście drugie

Rozdział 3

Rozdział 4

Satyr — wejście trzecie

Rozdział 5

Satyr — wejście czwarte

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Satyr — wyjście

Epilog